

MARK BILLINGHAM

OFIARY



MARK
BILLINGHAM

OFIARY



Ofiary

Ofiary

© Mark Billingham 2003

© Copyright to the Polish Edition: Jentas A/S 2021

Tytuł oryginału: Lazybones

Przełożył Robert P. Lipski

ISBN: 978-87-428-6004-5

Tom Thorne

1. Kokon
2. Mięczak
3. Ofiary
4. Podpalona
5. Zapomniani
6. Urowadzony
7. Mściciel
8. Naśladowca
9. Pułapka
10. Presja
11. Perswazja
12. Kości
13. Czas śmierci



Dla Pata i Tony'ego Thompsonów oraz Jeffa i Pam Billinghamów

Podziękowania

Oto lista osób, dzięki którym ta powieść mogła powstać:

Detektyw Inspektor Neil Hibberd z Grupy ds. Przestępstw Szczególnych (znowu) za wnikliwe uwagi, spędzanie snu z powiek i jak zawsze bezcenne rady.

Victoria Jones za odpowiedzi na tysiąc głupich pytań i, jak na ironię, otwarcie właściwych drzwi.

Dyrektor, personel i osadzeni z więzienia JKM w Birmingham.

Sarah Kennedy za życzliwe słowa na samym początku, kiedy obraz jest najważniejszy.

Wendy Burns – kurator ds. nieletnich, i Louise Spanner – administratorka ds. rodzin zastępczych placówki opieki społecznej w Essex.

No i rzecz jasna... Hilary Hale, Sarah Lutyens, Susannah Godman, Mike i Alice Gunn, Paul Thorne, Wendy Lee i Peter Cocks.

Oraz moja żona Claire. Wciąż domagam się szczegółów...

*Dziś może albo przy niedzieli Ogrodnik przyjdzie cały w bieli, a
kwiaty uschną, co zebrane...*

James Elroy Flecker
Złota wyprawa do Samarkandy

Prolog

13 marca

Najdroższy Dougie,

Przepraszam za kolejny list pisany na maszynie, ale jak już tłumaczyłam wcześniej, trudno jest mi pisać do Ciebie z domu, więc robię to w pracy, kiedy szef nie patrzy albo w porze lunchu (jak dzisiaj!) czy jakoś tak. Wybacz więc, jeśli ten list wygląda trochę nazbyt oficjalnie. Możesz mi wierzyć, kiedy piszę do Ciebie, wcale się tak nie czuję!

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku, a jeżeli nawet coś nie gra, to może moje listy choć trochę poprawiają Ci nastrój. Lubię wyobrażać sobie, że czekasz na nie z niecierpliwością i myślisz o mnie siedzącej tutaj, tak jak ja o Tobie. Teraz masz przynajmniej zdjęcia (podobają ci się?) więc nie musisz wyteżać wyobraźni (lubieżny uśmieszek!).

Wiem, że tam musi być naprawdę okropnie, ale nie trać nadziei, że wszystko jakoś się ułoży. Pewnego dnia wyjdiesz i będziesz miał przed sobą świetlaną przyszłość. Czy mogę łudzić się, że w tej przyszłości i dla mnie znajdzie się miejsce? Wiem, że trafiłeś tam, gdzie nie powinienes się znaleźć. Wiem, że to, co Cię spotkało, to jawna niesprawiedliwość!!!

Będę już kończyć, bo chcę zdążyć na pocztę jeszcze w porze lunchu, a na razie nic przecież nie zjadłam. Pisanie do Ciebie, uczucie bliskości z tobą są ważniejsze niż zapiekanka z serem (westchnienie!).

Wkrótce napiszę znowu, Dougie, i być może wyślę Ci kolejne zdjęcie. Czy wieszasz je na ścianie? Nie wiem nawet, czy siedzisz w pojedynce, czy w celi z innymi osadzonymi. W tym drugim wypadku mam nadzieję, że Ci, z którymi siedzisz pod celą, są mili. Ależ z nich

szczęściarze!

Już wkrótce będzie po wszystkim, a gdy stamtąd wyjdiesz, kto wie, może się wreszcie spotkamy. Jestem pewna, że warto będzie zaczekać.

Błagam, Dougie, uważaj na siebie. Mam nadzieję, że o mnie myślisz.

Twoja, bardzo zawiedziona...

Jane

xxx

xx

x

CZEŚĆ PIERWSZA

NARODZINY, ŚLUBY I ZGONY

10 sierpnia 1976

Przesuwał się w stronę krawędzi, każdy pokonany centymetr połączony z napięciem zwieracza zbliżał go coraz bardziej ku brzegowi wąskiej, polerowanej poręczy. Wykręcił nadgarstki, jeszcze mocniej opasując je ręcznikami. Nie dawał sobie żadnych szans, bo wiedział, że jego ciało chciałoby je wykorzystać. Wiedział, że instynktownie próbowałby się uwolnić. Jego pięty uderzały rytmicznie o bariery poręczy poniżej. Niebieska linka holownicza, którą znalazł w garażu, drapała go w szyję. Uśmiechnął się. Podrapanie się, nawet gdyby mógł to zrobić, byłoby jawną głupotą. Tak jak przetarcie skóry środkiem odkażającym przed wbiciem w nią igły strzykawki wypełnionej trucizną.

Zamknął oczy, pochylił głowę i pozwolił, by ciężar ciała pociągnął go do przodu i w dół. Szarpnięcie było tak silne, że pomyślał, iż urwie mu głowę, ale nawet nie zdołało przełamać kości. Nie miał czasu, by dokonać obliczeń i określić stosunek wysokości do swojej wagi. Zresztą nawet gdyby miał czas, nie był pewien, czy zdołałby to właściwie obliczyć. Pamiętał, że czytał gdzieś, iż prawdziwi kaci, Pierrepointowie, czy jak im tam, potrafili to obliczać, określić właściwą wysokość, z jakiej powinno runąć ciało, na podstawie powitalnego uścisku dłoni skazańca.

Miło mi cię poznać... jakieś trzy i pół metra... jak sądzę.

Ból w szyi był tak silny, że aż mocniej zacisnął zęby. Gdy spadał, zdarł z pleców kawałek skóry, zahaczając o poręcz. Czuł gorącą krew ściekającą po podbródku i zrozumiał, że przegryzł sobie język. Ze sznura biła woń oleju silnikowego.

Pomyślał o kobiecie w łóżku niecałe trzy metry dalej. Jak

cudownie byłoby ujrzeć wyraz jej twarzy, kiedy by go znalazła. W wyobraźni widział, jak rozdziawia swoje kłamliwe usta, gdy unosi dłoń, by powstrzymać kołysanie jego ciała. To byłoby doskonałe, ale rzecz jasna tak się nie stanie. To nie ona go znajdzie.

Ktoś inny odnajdzie ich oboje.

Zastanawiał się, jak do całej tej sprawy podejdzie policja. Co napiszą w gazetach. W pewnych domach i gabinetach ludzie będą szeptem wymawiać ich nazwiska. Jego nazwisko, to które jej dał, będzie rozbrzmiewać echem w sali sądowej, jak to już nieraz bywało w przeszłości, gdzie zostanie skalane w brudzie i plugastwie, które rozlewało się wokół niej, jak plama ropy. Tym razem nie będą mieli na szczęście okazji być przy tym, kiedy inni zaczną o nich plotkować, o całej tej tragedii, o zachwianiu ich równowagi umysłowej. Teraz trudno było z tym polemizować, zwłaszcza w tej chwili. Kiedy on czekał na śmierć, a ona odeszła pół godziny wcześniej, przed nim, na górze w sypialni, gdzie bury dywan powoli nasiąkał krwią.

Namąciła w głowach im obojgu. Dostała dokładnie to, na co sobie zasłużyła.

Pół godziny wcześniej jej ręce unosiły się jeszcze w obronnym geście.

Osiem miesięcy wcześniej jej ręce także się wyciągały, a nogi rozsuwały szeroko, na podłodze w magazynie.

Sama się o to prosiła...

Dławił się, pluł krwią, wyczuwając zbliżający się koniec, wiedział, że powoli uchodzi zeń życie. Jak długo to już trwało? Dwie minuty? Pięć? Opuścił i wyprężył stopy, aby ciężar ciała przyspieszył cały proces.

Usłyszał jakiś dźwięk przypominający skrzypienie, a potem pomruk zdziwienia. Otworzył oczy.

Zamiast w stronę drzwi frontowych patrzył teraz w kierunku

schodów. Gwałtownie poruszył ramionami, próbując wprawić całe ciało w ruch i obrócić je. Kiedy powoli zaczęło okręcać się na sznurze, a od śmierci dzieliły je już tylko sekundy, mężczyzna spojrzał w dół przekrwionymi, wychodzącymi z orbit oczyma w brązowe, nieskazitelne tęczówki oczu dziecka.

1

Sportowe buty psuły trochę ogólne wrażenie. Mężczyzna ostrzyżony na zapałkę, z potem perlącym się na górnej wardze, miał na sobie granatowy garnitur, bez wątpienia zakupiony specjalnie na tę okazję, a do tego nosił białe niki. Skrzypiały na drewnianym parkiecie sali gimnastycznej, gdy nerwowo przebierał nogami pod stołem.

– Przepraszam – powiedział. – Naprawdę tak bardzo mi przykro.

Przy stoliku naprzeciw niego siedziała para w starszym wieku. Mężczyzna o wodnistych, niebieskich oczach tkwił tam sztywno, jakby kij połknął, ani na chwilę nie odrywając wzroku od mężczyzny w garniturze. Starsza kobieta trzymała staruszkę za rękę. Jej oczy, takie same jak u męża, wodziły wzrokiem z boku na bok jak najdalej od młodego mężczyzny, który – kiedy widziała go ostatni raz – krępował ich oboje taśmą w ich własnym domu.

Starannie wygolony podbródek Darrena Ellisa zaczął lekko drżeć.

Głos także stał się niepewny.

– Gdybym tylko mógł jakoś zadośćuczynić temu, co się stało, zrobiłbym to – powiedział.

– Nie możesz – rzekł staruszek.

– Nie mogę cofnąć tego, co uczyniłem, ale wiem, że to było złe. Wiem, przez co przeszliście.

– Staruszka zaczęła płakać.

– Jak możesz? – rzucił jej mąż.

– Darren Ellis także się rozplakał.

W ostatnim rzędzie krzeseł, oparty plecami o drabinki siedział

potężnie wyglądający mężczyzna pod czterdziestkę w czarnej skórzanej kurtce; miał ciemne oczy i włosy z jednej strony bardziej przyprószone siwizną niż z drugiej. Wydawał się zniesmaczony i odrobinę zakłopotany. Odwrócił się do mężczyzny siedzącego tuż przy nim.

– Co. Za. Bzdura – wycedził Thorne.

Nadinspektor Russell Brigstocke łypnął na niego spode łba. Siedzący z przodu rudowłosy szemrany mężczyzna w typie rekruta zaczął posykiwać, aby ich uciszyć. Sądząc z wyglądu, był jednym ze zwolenników Ellisa.

– Bzdura – powtórzył Thorne.

Sala gimnastyczna w Peel Centre o tej bezbożnej porze w poniedziałkowy poranek była zwykle pełna rekrutów. Jednak jako że tylko ona była dostatecznie duża, by można w niej przeprowadzić konferencję pojednawczą, młodzi, nieopierzeni konstable tego dnia robili pompki i gwiazdy gdzie indziej. Podłogę sali wyłożono zielonym brezentem, na którym ustawiono około pięćdziesięciu krzesełek. Zajmowali je poplecznicy zarówno sprawcy, jak i ofiar oraz zaproszeni funkcjonariusze, którzy, jak sądzono, nie omieszkają wziąć udziału w tej nowo opracowanej inicjatywie rozjemczej.

Becke House, gdzie mieli swą centralę Thorne i Brigstocke, mieściło się w tym samym kompleksie. Pół godziny wcześniej, podczas pięciominutowego marszu do sali ćwiczeń, Thorne uskarżał się otwarcie:

– Skoro to zaproszenie, czemu nie mogę odmówić?

– Zamknij się – wycedził Brigstocke. Byli spóźnieni, przyspieszył kroku, próbując nie rozlać kawy z gorącego, pełnego niemal po brzegi styropianowego kubka. Thorne z ociąganiem szedł dwa kroki za nim.

– Cholera, nie wziąłem zaproszenia, może mnie nie wpuszczą.

– Brigstocke łypnął na niego gniewnie, bynajmniej go to nie

rozbawiło.

– A poza tym nie jestem odpowiednio ubrany. Może tam bez krawatów nie wpuszczają...

– Nie słucham cię, Tom.

Thorne pokręcił głową, szurając nogami jak rozzłoszczony uczeń.

– Próbuję zwyczajnie dojść z tym jakoś do ładu. Ta szumowina okleja parę starszków taśmą, wymierza staremu parę kopniaków, łamiąc mu przy tym... ile żeber?

– Trzy.

– Trzy. Dzięki. Odlewa się na dywan, zabiera oszczędności całego życia, a my musimy wysłuchiwać, jak mu z tego powodu przykro?

– To tylko część procesu. W Australii wprowadzono resocjalizacyjne konferencje pojednawcze i wyniki są całkiem obiecujące. Przypadki recydywy zdarzają się teraz o wiele rzadziej niż dotychczas...

– O ile dobrze zrozumiałem, chodzi o to, że podsądnego konfrontuje się z ofiarami i jak wszyscy dojdą do wniosku, iż winny naprawdę poczuwa się do winy, dostaje niższy wyrok. Zgadza się?

Brigstocke wypił jeszcze jeden łyk gorącej kawy i wrzucił na wpełnię pełny kubek do kosza.

– To nie takie proste.

Od ponad tygodnia był już czerwiec, ale o tak wczesnej porze panował jeszcze chłód. Thorne wsunął dłonie do kieszeni kurtki.

– Ten, kto to wymyślił, musiał być idiotą.

W sali gimnastycznej zebrani patrzyli, jak Darren Ellis odsuwa zaciśnięte w pięści dłonie od zaczerwienionych, wilgotnych oczu. Thorne powiódł wzrokiem po twarzach otaczających go osób. Niektórzy ludzie wydawali się zasmuceni i kręcili

głowami. Parę robiło notatki. W pierwszym rzędzie adwokaci Ellisa podawali sobie z rąk do rąk jakieś papiery.

– Czy zaśmiałyby się pan, gdybym powiedział, że czuję się jak ofiara? – spytał Darren.

Staruszek patrzył na niego ze spokojem przez piętnaście sekund albo i dłużej, po czym beznamiętnie odrzekł:

– Chętnie wybiłbym ci wszystkie zęby.

– Nie wszystko jest takie jasne – powiedział Darren.

Staruszek nachylił się nad stolikiem. Skóra wokół jego ust się napięła.

– Powiem ci, co jest jasne. – Zerknął na żonę – Od tamtej nocy, gdy wdarłeś się do naszego domu, prawie nie zmrużyła oka. Co więcej, zdarza się jej zmoczyć łóżko. – Zniżył głos do szeptu: – Tak bardzo wychudła...

W sali rozległ się dźwięk przypominający przełknięcie śliny albo może westchnienie, gdy Darren ukrył twarz w dłoniach i dał upust swoim emocjom. Adwokat poderwał się z miejsca. W stronę stolika ruszył także jeden ze śledczych. Czas na przerwę.

Thorne nachylił się do Brigstocke'a i rzekł donośnie:

– Jest naprawdę niezły. Do jakiego kółka teatralnego uczęszczał? – Tym razem to kilku funkcjonariuszy policji odwróciło się, by spiorunować go wzrokiem.

W dziesięć minut później wszyscy tłoczyli się już w holu na zewnątrz. Ludzie kiwali głowami i niemal szeptem wymieniali między sobą uwagi. Podano wodę mineralną i biszkopty.

– Powinienem sporządzić pisemny raport w tej sprawie – mruknął Brigstocke.

Thorne pomachał do kilku znajomych z Zespołu 6.

– Lepiej ty niż ja.

– Zastanawiam się nad dobrorem właściwych słów, w celu opisania nastawienia niektórych członków mojej ekipy.

Obstrukcjonistyczne? Bezczelne? Masz jakieś sugestie...?

– Myślę, że to była jedna z najgłupszych rzeczy, jakie widziałem. Nie mogę uwierzyć, że ludzie potraktowali ten występ serio i mam gdzieś wyniki tego typu szopek w Australii. Nie, to nie było głupie. Raczej obrzydliwe. Obsceniczne. Wszyscy ci durni kretyni wpatrujący się w każdy grymas na twarzy tego palanta. Ile uronił łez? Jak duże one były? Jak bardzo było mu wstyd? – Thorne upił łyk wody, potrzymał przez chwilę w ustach, przełknął. – Widziałeś JEJ twarz? Patrzyłeś na twarz tej kobiety?

Zadzwoiła komórka Brigstocke'a. Odebrał natychmiast, ale Thorne mówił dalej.

– Konferencja pojednawcza? Niby komu to miało przynieść jakąś korzyść? Temu staruszkowi i jego chudej jak patyk żonie? – Brigstocke gniewnie pokręcił głową i odwrócił się.

Thorne odstawił szklankę na parapet. A potem pomaszerował przed siebie, mijając kilka osób i kierując się w stronę grupki, która wyszła z sali gimnastycznej do holu drugimi drzwiami.

Darren Ellis zdjął marynarkę i krawat. Był skuty, towarzyszyło mu dwóch śledczych, przytrzymujących go za ramiona.

– Niezły dałeś popis, Darrenie – mruknął Thorne. A potem zaczął klaskać w dłonie.

Ellis spojrział na niego, jego usta otwierały się i zamykały nerwowo wskutek spontanicznej reakcji, której z pewnością wcześniej nie przetrenował. Popatrzył na funkcjonariuszy, poszukując wsparcia z ich strony.

Thorne się uśmiechnął.

– Co masz przygotowane na bis? Moim zdaniem na finał zawsze jest najlepsza piosenka...

Funkcjonariusz po lewej, z drobinkami łupieżu na ramionach poliestrowej marynarki zrobił groźną minę.

– Odwal się, Thorne.

Zanim Thorne zdążył zareagować, jego uwagę zwrócił Russell. Brigstocke zmierzał szybkim krokiem w ich kierunku. Thorne prawie nie zauważył, kiedy dwaj śledczy odprowadzili Ellisa w drugą stronę. Wyraz twarzy nadinspektora sprawił, że poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku.

– Jesteś spragniony sprawiedliwości? – rzucił Brigstocke. – Będziesz miał okazję się wykazać. – Wskazał na komórkę trzymaną przez Thorne'a. – Chyba kroi się grubsza sprawa.

Nazywano go hotelem. Ale z drugiej strony o żandarmach wojskowych mówi się „prawi”, „honorowi” i „dżentelmeńscy”...

Neon na zewnątrz układał się w napis HOTEL, lecz Thorne wiedział, że w pewnych mniej wytwornych zakątkach Londynu nie należy traktować takich słów zbyt poważnie. Gdyby wszystkie oznaczały to, co sugerują, równałoby się to mnóstwu sfrustrowanych biznesmenów siedzących w saunach i oczekujących na ręczne zaspokojenie, które nigdy nie nadejdzie.

Neon na zewnątrz powinien układać się w napis PASKUDNA NORA. To rzucało się już na pierwszy rzut oka. Brązowy dywan, niegdyś najlepszy z magazynowych odrzutów, był teraz w wielu miejscach poprzecierany. Zieleń zbutwiałego podgumowania wykładziny zlewała się z barwą pleśni pnącej się po białej tapecie pod oknem. Na parapecie stała doniczka z zeschniętym storczykiem, pokrytym warstewką kurzu. Thorne rozsunął brudne, pomarańczowe zasłony, oparł się o parapet i przez chwilę chłonał zapierający dech widok aut sunących wolno wzdłuż dworca Paddington w kierunku Marylebone Road.

Dochodziła jedenasta, a korków nie ubywało.

Thorne odwrócił się i nabrał powietrza. Naprzeciw niego, w drzwiach, konstabl Dave Holland gawędził z mundurowym, czekając, jak Thorne, na znak, że może wejść i rozpocząć swoją

pracę. I wdepnąć obiema nogami w bagno.

W różnych częściach pokoju trzech techników pełzało po podłodze bądź kucało w poszukiwaniu materiałów dowodowych, które oznakowywali i zbierali do plastikowych torebek – od najmniejszych włókien, po ślady organiczne. Od tego zależał los całego procesu i sprawcy. W maleńkim pyłku mogło kryć się dożywocie. W kurzu i śmieciach kryła się prawda.

Patolog Phil Hendricks oparł się o ścianę, mówiąc coś do małego cyfrowego dyktafonu, z którego był bardzo dumny. Popatrzył na Thorne'a. W tym spojrzeniu zawierały się zwyczajowe pytania. Znów jesteśmy w biegu? Kiedy choć trochę nam ulży? Czemu nie rzucamy tego w cholere i nie spędzimy reszty życia, siedząc na schodach i żłowiąc wodę brzożową? Thorne, nie mogąc odpowiedzieć na te pytania, tylko odwrócił wzrok. W kącie opodal łysy technik w kombinezonie wyglądającym jak wielkie śpiochy oprószał proszkiem daktyloskopijnym krany przy brązowej umywalce. W tej norze w pokojach były przynajmniej podstawowe urządzenia. W pomieszczeniu znajdowało się w sumie siedem osób. Osiem, jeśli liczyć zwłoki.

Thorne nie bez wahania przeniósł wzrok na białego jak ściana mężczyznę na łóżku. Ciało było nagie i leżało na samym materacu, krople krwi łączyły ze sobą widoczne na obiciu wyświechtanego materaca inne plamy, wyblakłe i dość stare. Ręce mężczyzny, związane brązowym skórzanym paskiem, były wyciągnięte do przodu, kiedy tak leżał z podkulonymi kolanami i wypiętymi pośladkami. Głowę, zakrytą czarnym kapturem, wciśnięto w miękki materac.

Thorne patrzył, jak Phil Hendricks przechodzi wolno wzdłuż łóżka, unosząc i odwracając głowę. Powoli zdjął kaptur z głowy trupa. Thorne zauważył, jak na moment ramiona jego

przyjaciela sztywnieją i usłyszał zduszone westchnienie, zanim tamten opuścił głowę nieboszczyka na łóżko. Kiedy technik podszedł, by zabrać kaptur i włożyć do torebki na materiały dowodowe, Thorne postąpił naprzód, by móc lepiej przyjrzeć się twarzy trupa. Oczy miał zamknięte, nos mały, lekko zadarty. Na policzku kilka drobnych kropelek krwi. Usta wyglądały jak zastygła maska zakrzepłej posoki, wargi postrzępione, tu i ówdzie widoczne strużki zaschniętej śliny. Brudne nierówne zęby były wyszczerzone, dolna warga została przygryziona, kiedy wokół szyi ofiary zaciskała się pętla.

Thorne oszacował, że tamten miał jakieś trzydzieści kilka lat. Ale nie mógł być tego pewien.

Gdzieś u góry rozległ się dźwięk wyłączanego urządzenia, pewnie bojlera. Tłumiąc ziewnięcie, uniósł wzrok na falujące pajęczyny pod sufitem. Zastanawiał się, czy inni mieszkańcy nadal mieliby ochotę na poranną gorącą kąpiel, gdyby wiedzieli, co wydarzyło się pod szóstką.

Thorne postąpił krok w stronę łóżka. Hendricks odezwał się, nawet na niego nie patrząc:

- Pomijając fakt, że gość nie żyje, nie wiem kompletnie nic, więc nawet nie pytaj, dobra?
- U mnie wszystko gra. Dzięki, że zapytałeś, Phil, a co u ciebie?
- Chyba raczej w porządku. Mam rozumieć, że wpadłeś tu tylko na przyjacielską pogawędkę...?
- Ale z ciebie dupek. Co jest złego w zwykłej wymianie uprzejmości? Czy nie można w ten sposób choć trochę rozładować atmosfery?

Hendricks milczał. Thorne nachylił się, aby podrapać się w kostkę przez kombinezon.

- Phil...
- Mówiłem już. Nie wiem. Sam popatrz. Przyczyna śmierci jest oczywista, ale to nie takie proste. W grę wchodzi jeszcze... inne

czynniki.

– Jasne. Dzięki...

Hendricks cofnął się niezręcznie i skinął na jednego z techników, który natychmiast podszedł do łóżka, zabierając po drodze niewielkie pudełko. Funkcjonariusz ukląkł i otworzył pudełko, ukazując cały zestaw lśniących narzędzi. Wyjął niewielki skalpel i nachylił się nad szyją ofiary.

Thorne patrzył, jak technik wsuwa przyobleczonej w rękawiczkę palec pod pętlę na szyi ofiary. Z miejsca, gdzie stał Thorne, sznur, który zadzierzgnięto na ciele nieboszczyka, wyglądał jak zwykły sznur do bielizny, który można nabyć w każdym sklepie z artykułami gospodarstwa domowego. Gładki, niebieski plastik. Widział, jak mocno sznur wpił się w ciało trupa. Funkcjonariusz delikatnie przeciął skalpelem linę tak, by nie naruszyć węzła znajdującego się z tyłu, na karku ofiary. Rzecz jasna, to była standardowa procedura. Staranna i mroząca krew w żyłach.

Będą musieli porównać węzeł z innymi, które mogą pojawić się później.

Thorne spojrzał na Dave'a Hollanda, który uniósł brwi i rozłożył szeroko ręce. Co się dzieje? Jak długo to potrwa? Thorne wzruszył ramionami. Spędzili tam już godzinę. On i Holland krążyli po pokoju, sporządzając notatki, zbierając materiały dowodowe i lustrując miejsce zbrodni. Teraz przyszła kolej na techników, a Thorne nie lubił czekać. Poczulby się lepiej, gdyby mógł włączyć się do działania. Chciał szczerze powiedzieć, że nie mógł już się doczekać, aby zrobić, co do niego należało i rozpocząć proces, który może, kto wie, któregoś dnia przywiedzie sprawcę tej zbrodni przed oblicze sprawiedliwości. Na razie jednak chciał uwinąć się z tym, co miał do zrobienia jak najszybciej, i opuścić to miejsce. Chciał zdjąć plastikowy kombinezon, wsiąść do auta i odjechać. Gdyby

był naprawdę szczery wobec siebie, musiałby przyznać, że tylko częśćka niego tego pragnęła. Ta druga aż krzyczała wewnątrz. Ta jego część, która znała różnicę między tymi czy innymi miejscami zbrodni, która umiała rozeznawać się w takich sprawach. Thorne widział ofiary rozwścieczonych małżonków i zazdrosnych kochanek. Widział ciała rywali w interesach i ofiary gangsterskich porachunków. Na pierwszy rzut oka umiał rozpoznać coś naprawdę niezwykłego. To było szczególne miejsce zbrodni. Dzieło zabójcy wiedzionego nietypowym impulsem, naprawdę spektakularne. Pokój cuchnął gniewem i nienawiścią. A także dumą.

Hendricks, jakby czytając w myślach Thorne'a, odwrócił się do niego z uśmiechem.

– Jeszcze pięć minut, dobra? Nic tu więcej nie zwojuję...

Thorne pokiwał głową. Spojrzał na nieboszczyka leżącego na łóżku, w pozycji jak do modlitwy. Gdyby nie pasek i jaskrawoczerwona pręga na szyi oraz cienka strużka krwi ściekającej po bladych udach, można by pomyśleć, że ten mężczyzna się modli.

Thorne domyślał się, że koniec końców zapewne tak właśnie było. W pokoju było gorąco. Thorne przetarł palące oko wierzchem dłoni i poczuł strużkę potu spływającą mu po żebrach i nagle coś ścisnęło go w żołądku.

Gdzieś w dole sfrustrowany kierowca nacisnął na klakson... Thorne nawet nie zdawał sobie sprawy, że zamknął oczy, a na dźwięk telefonu uniósł gwałtownie powieki, przez moment przekonany, że oto obudził się z wyjątkowo nieprzyjemnego koszmaru. Odwrócił się dezorientowany i ujrzał Hollanda przy nocnym stoliku. Telefon był starodawnym modelem z połowy lat siedemdziesiątych, tarczę miał pękniętą, słuchawka aż bujała się na widełkach. Thorne, choć czujny, wydawał się zbity z tropu. Czy to telefon do nich? Czy to sprawa dla policji? A

może osoba pracująca w czymś, co z wielką przesadą nazywano tu recepcją, nie wiedziała, co się stało pod szóstką, i przełączyła kogoś, kto dzwonił z zewnątrz? Spotkawszy kilkoro członków personelu, Thorne był w stanie uwierzyć, że choć wiedzieli, co się tu stało, z powodu swej tępoty mogli połączyć rozmowę do tego pokoju. W tej sytuacji byłby to prawdziwy łut szczęścia...

Thorne podszedł do aparatu. Reszta zespołu zamarła w bezruchu, obserwując go.

Ubranie ofiary – a przynajmniej przypuszczano, że należało właśnie do niej – wałało się na podłodze, opodal. Spodnie bez paska i slipki leżały obok krzesła. Koszula była zwinięta w kulę. Jeden but spoczywał pod łóżkiem u wezglowia. Brązowa, sztruksowa kurtka wisiała przerzucona przez oparcie krzesła przy łóżku, w kieszeniach nie było żadnych rzeczy osobistych – ani portfela, ani biletów na autobus czy pomiętych fotografii. Nic, co mogłoby pomóc zidentyfikować denata...

Thorne nie wiedział, czy z telefonu zdjęto już odciski palców, i nie miał czasu, by o to zapytać. Wziął od jednego z techników plastikową torebkę i wsunął do niej rękę. Następnie uniósł dłoń do góry, prosząc o ciszę. Nawet nie musiał nic mówić. Wziął głęboki oddech i podniósł słuchawkę.

– Halo?

– Eee... witam. – Kobięcy głos.

– Thorne odnalazł spojrzenie Hollanda.

– Z kim chciała pani mówić? – Odsunął nieco słuchawkę od ucha i nie dosłyszał odpowiedzi. – Przepraszam, jakieś zakłócenia na linii, może pani mówić głośniejsze?

– Teraz lepiej?

– Doskonale. – Thorne starał się mówić beznamiętnym tonem.

– Z kim chciałaby pani rozmawiać?

– Cóż... właściwie to nie wiem... bo...

Thorne znów spojrzał na Hollanda i pokręcił głową. Kurwa.

Nie będzie łatwo.

– Z kim mówię?

– Słucham?

– Jak pani godność?

Odezwała się po dłuższej chwili. Głos miała spięty. Mimo to panowała nas sobą.

– Proszę posłuchać, nie chcę, by to zabrzmiało nieprzyjemnie, ale to do mnie zadzwoniono. Nie zamierzam się przedstawić, zanim...

– Mówi detektyw inspektor Thorne z Zespołu ds. Przestępstw Szczególnych...

Chwila przerwy. I nagle:

– Sądziłam, że dzwonię do hotelu...

– I dodzwoniła się pani do hotelu. A teraz pytam ponownie, jak pani godność? – Spojrzał na Hollanda i wydał policzki. Holland czekał z notesem w dłoni; wyglądał na mocno zdezorientowanego.

– Skąd mam wiedzieć, że mówi pan prawdę – rzekła kobieta.

– Jeżeli pani sobie życzy, mogę zaraz oddzwonić. Albo jeszcze lepiej, podam pani numer, niech pani pod niego zadzwoni i zapyta o nadinspektora Russella Brigstocke'a. Podam pani numer mojej komórki...

– Po co mi numer pańskiej komórki, skoro ma pan oddzwonić?

– Rozmowa stawała się coraz bardziej absurdalna.

Thorne'owi wydawało się, że wychwytuje w głosie kobiety nutę rozbawienia, coś na pograniczu flirtu. Choć było to miłe w ten ponury poranek, nie miał dziś nastroju na takie rzeczy.

– Droga pani, aparat, z którego z panią rozmawiam, znajduje się na miejscu zbrodni i chcę wiedzieć, czemu pani tu zadzwoniła.

Poskutkowało. Kobieta, w której głosie pojawiło się nagle zaniepokojenie, zrobiła, o co prosił.

– Otrzymałam wiadomość nagrany na automatyczną sekretarkę. Dziś rano przyszedłam do pracy i zaczęłam odsłuchiwać wiadomości. Ta była pierwsza. Mężczyzna, który zadzwonił, zostawił numer telefonu i nazwę hotelu, do którego miałam dostarczyć zamówienie...

Zadzwonił mężczyzna. Czy to ten, który leżał na łóżku, czy...?

– Jak brzmiała wiadomość?

– Złożył zamówienie. Wybrał sobie diablo dziwną porę, nie ma co. Dlatego mnie zaciekało... i zadzwoniłam. Pomyślałam, że to mógł być żart, wie pan, dzieciaki czasem się wygłupiają, ale szczeniaki nie podałyby właściwego adresu, zgadza się?

– Czy ten mężczyzna się przedstawił?

– Nie. I między innymi także dlatego dzwonię. Chciałam poprosić o numer jego karty kredytowej. Nie realizujemy zamówień za gotówkę.

– Co to znaczy, że wybrał sobie diablo dziwną porę?

– Zamówienie złożono dziesięć po trzeciej w nocy. Kupiłam telefon z automatyczną sekretarką, która zapisuje czas rejestrowanych połączeń.

Thorne przyłożył słuchawkę do piersi i spojrzał na Hendricksa.

– Znam czas zgonu. Założę się o dziesiątkę, że nie podasz jej z dokładnością do pół godziny.

– Halo?

Thorne na powrót przyłożył słuchawkę do ucha.

– Przepraszam, musiałem zamienić dwa słowa z kolegą. Czy mogę poprosić, by zatrzymała pani taśmę z automatycznej sekretarki, panno...?

– Eve Bloom.

– Wspomniała pani o jakimś zamówieniu?

– Nie wyjaśniłam, o co chodzi? Jestem florystką. Ten człowiek chciał zamówić kwiaty. I chyba właśnie szczegóły tego

zamówienia wzbudziły mój niepokój...

– Jak to? Nic nie rozumiem.

– Cóż, składać takie zamówienie w środku nocy...

– Jak dokładnie ono brzmiało?

– Chwileczkę...

– Proszę mi tylko...

Ale już jej nie było. Po kilku sekundach Thorne usłyszał trzask wciskanego klawisza i szmer przewijanej taśmy. Zapadła chwila ciszy, a potem głośny stukot, kiedy przyłożyła słuchawkę do urządzenia.

– Zaraz będzie! – zawołała.

Rozległ się szelest obracającej się taśmy.

W głosie, jaki usłyszał Thorne, nie było nawet cienia akcentu czy jakichkolwiek emocji. Inspektor odniósł wrażenie, jakby ktoś bardzo się starał mówić beznamiętnie, ale mimo to w jego głosie dało się wyczuć pewne rozbawienie. Głos należał do mężczyzny, który – jak przypuszczał Thorne – był odpowiedzialny za okrutną śmierć człowieka spoczywającego na hotelowym łóżku.

Wiadomość była w sumie prosta i zaczęła się dość banalnie.

– Chciałbym zamówić wieniec...

3 grudnia, 1975

Podjechał maxi pod garaż, aż zderzak nieomal dotykał drzwi, po czym zaciągnął hamulec ręczny i wyłączył silnik.

Sięgnął po aktówkę, wysiadł z samochodu i pośladkami zatrzaskał drzwiczki.

Dochodziła dopiero szósta, a już było ciemno. I zimno. Będzie musiał zacząć nosić kamizelkę. Zmierzając w stronę frontowych drzwi, znów zaczął pogwizdywać tę cholerną piosenkę, której nie mógł wyrzucić z pamięci. Puszczali ją w radiu na okrągło. Co to w ogóle jest „silhouetto”? I co ma z tym wspólnego fandango? Co gorsza, piosenka była długa jak cholera. Czy przeboje pop nie powinny być krótkie? Zamknął za sobą frontowe drzwi i przez chwilę stał na słomiance, czekając, aż w nozdrza uderzy go woń przygotowanej kolacji. Lubił ten moment każdego dnia, kojarzył mu się ze sceną z jakiegoś starego serialu komediowego. Stał tak i wyobrażał sobie, że znajduje się gdzieś w Stanach, w jednym z miast Środkowego Zachodu, a nie na zafajdanym, żalonym przedmieściu. Wyobrażał sobie, że jest pracownikiem jakiejś wielkiej firmy, mającym idealną żonę, która czeka na niego z gotową, smakowitą pieczenią i szklaneczką koktajlu. Miał ochotę na jakiegoś fantazyjnego drinka.

To nie był tylko jego żarcik, bawili się nim oboje. Ten śmieszny rytuał towarzyszył im od dawna. On od progu zawoła, że wrócił, a ona odpowie cytatem z serialu, a potem oboje zasiądą do stołu, by zjeść odgrzane z mrożonki naleśniki albo coś z kuchni indyjskiej, na słodko ze zbyt dużą ilością rodzynek.

– Kochanie, wróciłem...

Odpowiedzi nie było.

Nie poczuł znajomego zapachu.